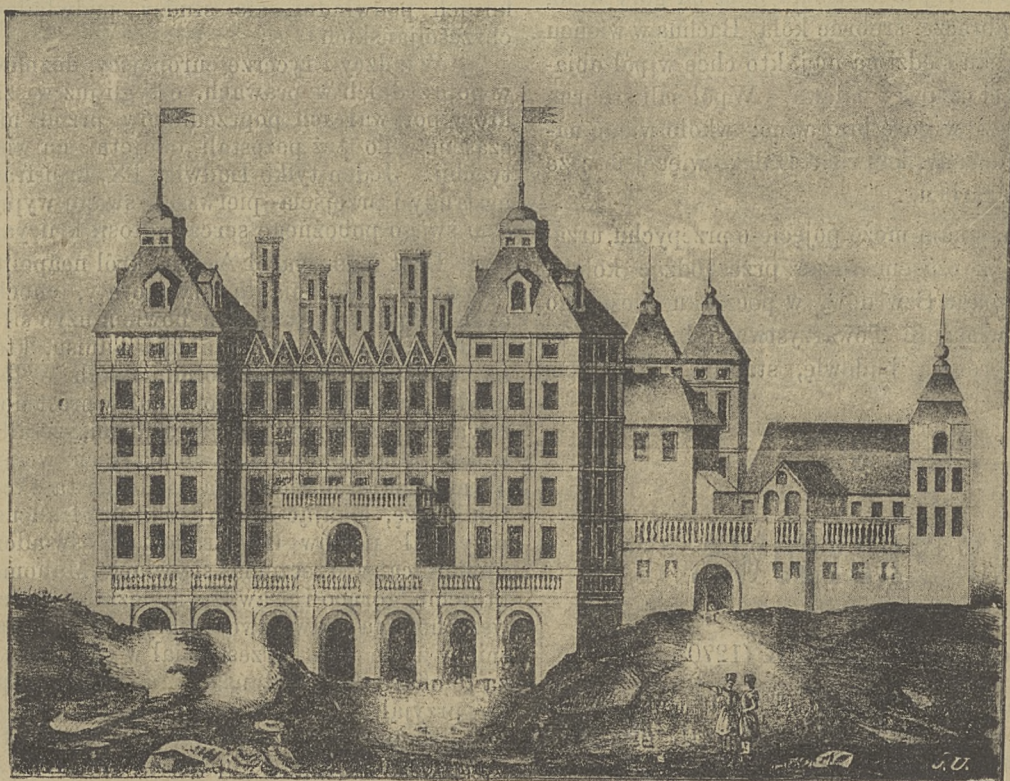




WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Pałac Kazanowskich.

Obok klasztoru Bernardynów, gdzie dziś stoi kościółek Towarzystwa dobroczynności, wznosił się niegdyś w Warszawie od strony Wisły wspaniały pałac Kazanowskich, zbudowany przez Adama Kazanowskiego, który w r. 1632 zburzył kilka dworców, jakie posiadał w tej stronie miasta i wystawił gmach okazałością swoją budzący podziw ogólny. O świet-

nem wewnętrznym i zewnętrznym urządzeniu tego gmachu daje nam wyobrażenie powtórzone w „Szkiecach historycznych” Karola Szajnochy sprawozdanie naocznego świadka, z którego pozwalamy sobie przytoczyć wyjątki: „Jest to raczej ogromny zamek niż pałac — mówi ów sprawozdawca — po rogach zamku wieże i dach z blachy miedzianej z gałkami

złożonemi i powietrznikami. Między wieżami od Wisły wielka altana z przeplataniem, z obu stron stoją rzędem ganki z pachnącemi kwiatami; stamtąd zachwycający, obszerny widok na zielone pola, lasy i płynące tam i nazad po rzece statki; w bok ciągnie się ciekawy potężny, w nim wszelkie gatunki armat, kopje, dzidy, działa polowe, hakownice, szmigownice, rydle, motyki, bogate namioty tureckie i na jednym dziale rozwieszona skóra lwa ogromnego.

...Na górze długa galerya ozdobiona pięknymi obrazami. W pokojach na stole sfery z planetami swemi i tyle dostatków, że aż pióro moje ustaje.

Puszczę się na dół, aż tu znów altana w kolumny ze drzwiami i poręczami z marmuru i widok na Wisłę z pięknym, z różnych drzew ogrodem. Stołowa izba ma u góry koronę, z której zwiesza się świecznik, a wśród niego zegar wskazuje godziny. Wkoło ganki dla muzyki i śpiewaków. Wszystkie ściany okryte umyślnie do nich robionemi makatami. Na tle złotym wyrażony jest igłą bankiet królewski w domu Kazanowskich. Ujrzyś tam wizerunki króla i królowej, posłów: francuskiego, hiszpańskiego, rakuskiego, perskiego i tureckiego, nie wspominam senatorów i cudzoziemców. Rzędami stoją stołki, złotą skórą obite z herbami pana domu; między oknami szafy pozłacane. W kącie stoi baryła szczero-srebrna o 40-stu garncach, do której nieznacznie idzie od góry wino; do tej baryły są złote obręcze, srebrne koła, Bachus w wieńcu na głowie, z czarą w ręku siedzi na niej, kto chce w pół obiadu idzie do niej, zakręci czopek i nalewa. Wpół sali srebrna fontanna na kilka łokci w górę bije wino; wkoło widać nalewki, miednice, roztruchany, konwie. Daleko więcej jeszcze bogactw mieści się w skarbcu...

Ten krótki opis dać nam może pojęcie o przepychu urządzenia zamku, który z czasem różne przechodząc koleje, zniszczony w czasie napadu Szwedów, w początku bieżącego stulecia przeszedł na własność Towarzystwa dobroczynności i dziś zamieniony w skromną budowlę, stał się przytułkiem starców i kalek.

WOJNY KRZYŻOWE.

DRUGA KRUCYATA LUDWIKA IX (1270 r.)

Stan chrześcijan palestyńskich od czasu wyjazdu Ludwika IX z dnia na dzień pogarszać się zaczął, grożąc im prędką i niechybną zagładą. Trzy były główne przyczyny tego smutnego położenia: wzrost potęgi sułtanów egipskich, którzy ulęknieni śmiałością Krzyżowców, kuszących się dwukrotnie o zdobycie samego Egiptu, przedsięwzięli całkowicie wytepić osady chrześcijańskie w Syrii, aby królom i rycerzom zamknąć na zawsze wrota do Wschodu; coraz mniejszy napływ rycerzy z Europy, oraz kłótnie między samymi chrześcijanami.

Posiadali oni jeszcze w tym czasie, to jest w połowie XIII wieku, na wschodnim wybrzeżu morza Śródziemnego dość ludne i warowne miasta: Ptolemaidę czyli Akre, Bejrut, Sydon, Tyr, Trypoli i Antyochię. Ale miasta te nie miały nad sobą pana, lecz co gorsza, każde z nich zostawało w ręku kilku szerególnych władców.

I tak, hrabia lub książę, noszący tytuł od miasta, gdzie przebywał, posiadał zaledwie część jego; biskup miejscowy miał swój wydział; zakony rycerskie: św. Jana, Templaryu-

szów i Krzyżaków miały także udzielne kwartały, nad którymi sąd i władzę sprawowały; nawet kupcy weneccy, genueńscy i pizańscy mieli swoje cyrkule, którymi zarządzali.

Każdy taki kwartał miasta stanowił jakby osobną twierdzę; bywał zwykle murem opasany, a ulice w nocy zamykały się na łańcuchy. Zajścia i kłótnie między mieszkańcami były rzeczą powszechną i nieraz wojna domowa rumieniła krwią place publiczne.

Gorący klimat i zniewieściałe obyczaje wschodnie wpłynęły także niekorzystnie na bitność i energię większości mieszkańców. Z wyjątkiem rycerzy zakonu św. Jana reszta nie odznaczała się już odwagą i dzielnością pierwszych krzyżowców.

Kiedy nieprzyjaciół stawał pod murami miasta, mało kto spieszył na obronę wiary i wolności. Ci tylko, których cyrkul najwięcej był zagrożony, biegli z orężem w ręku odpiierać muzułmanów, inni zaś obojętnie czekali jak gdyby po zdobyciu części miasta nie groził im z kolei ten niebezpieczniejszy atak ze strony nieprzyjaciela.

W ten sposób runęło w r. 1268 księstwo Antyochińskie. Sułtan egipski Bibars zdobył Antyochię w ciągu jednego tygodnia, a lubo mieszkańcy poddali się prawie bez oporu, niewierni wyróżnili około 17000 bezbronných mieszkańców, a sto tysięcy sprzedali w niewolę. Pewien historyk arabski, chcąc określić, jak wielką była ilość pojmanych chrześcijan, tak się wyraził w małoowniczym stylu wschodnim: „nie było niewolnika u niewolnika, któryby także nie miał niewolnika”, co znaczy, że nietylko starszyzna egipska, nietylko ich podwładni, ale słudzy podwładnych mieli jeńców chrześcijańskich.

Władcy i rycerze europejscy, doznawszy tyle zawodów w poprzednich wyprawach, ostygli już w szlachetnym zapale który porwał ich poprzedników przed niedawnym jeszcze czasem. To też pozostali obojętni na wieść o upadku Antyochii. Jeden tylko Ludwik IX, król francuski, nie pomny na trudy i przejścia pierwszej swojej wyprawy, idąc za głosem swego pobożnego serca, ogłosił krucyatę.

Brat jego, Karol Anjou, król neapolitański, oświadczył także chęć należenia do tej krucyaty, chociaż z mniej religijnych pobudek. Chciał on bowiem użyć sił zbrojnych swojego brata dla poskromienia deya Tunisu, który wciąż napadał na wybrzeża Sycylii i południowych Włoch. Jakoż wyjechał u Ludwika, że nie popłynął wprost do Egiptu, ale skierował wyprawę na Tunis, w nadziei, że albo państwo to zdobędzie, albo nakłoni deya do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. W nadziei tej utwierdzała Ludwika ta okoliczność, iż chytry ten książę, lękając się oręza króla francuskiego, kilka razy przysyłał posłów do Francji z oświadczeniami przyjaźni i obietnicą wyrzeczenia się wiary Mahometa. Ludwik zaś, któremu gorąco i prawdziwie leżała na sercu sprawa rozpowszechnienia prawdziwej wiary, odzywał się nieraz, że chętnieby życie całe przesiedział w ciemnym więzieniu, jeśliby za tę ofiarę deya tunetańskiego wraz ze swymi poddanymi chrzest św. przyjął.

Flota, wioząca Krzyżowców i króla francuskiego, zawięła do Tunisu 14-go lipca 1270 r. Krzyżowcy wysiedli na ląd bez przeszkody, rozbili namioty i gotowali się do oblężenia Tunisu, który należał wówczas do bardziej kwitnących miast w Afryce północnej. Stolica deya posiadała około dziesięciu tysięcy domów i trzy ogromne przedmieścia, a słynęła z bogactw, nabytych drogą handlu i rozbojów morskich.

Ludwik IX nie rozpoczął odrazu działań wojennych, oczekując na przybycie brata i jego posiłków. Tymczasem wskutek braku wody i odpowiedniej żywności, oraz gorącego klimatu, rozszerzyła się w obozie straszna epidemia dysenterji. Mnóstwo żołnierzy padło jej ofiarą, ale największy cios poniosło wojsko i całe chrześcijaństwo przez śmierć świątobliwego króla, który padł także ofiarą zarazy i umarł w obozie d. 25 sierpnia 1270 r., zostawiając przy wojsku syna swego i następcę Filipa.

W dniu jego zgonu przybył Karol Anjou i wspólnie z młodym Filipem objął dowództwo nad Krzyżowcami. Roz-

poczęto natychmiast kroki nieprzyjacielskie, ale walka toczyła się bez stanowczych wypadków. Nareszcie po długich rokowaniach, dej przyrzekł zaniechać rozbojów morskich i zapłacił kosztą wojenne, a królowie, nie ufając losowi oręża, powrócili do Europy, zapomniawszy o pierwotnym celu wyprawy, to jest o Palestynie.

Tak się zakończyła ostatnia krucjata, zamykająca okres właściwych wojen krzyżowych, mających na celu odzyskanie Ziemi Św. z rąk niewiernych.

A. z Ch. Borzkowska.

PANNA MARYCHNA Z OPOROWA.

(Ciąg dalszy).

— Nie, nie! — ozwał się opryszek — jejmość i tak pojąć musimy, on zaś niech ginie w ogniu.

— Nie pojmiecie mię wtedy żywą, bo go nie odstąpię, a komtur Ulrych pomści na was śmierć moją.

— Jejmości nie uczynimy krzywdy, jego niech tylko ogień przysmarzy. Hej chłopcy! żwawo chrust zapalić.

— Zaklinam was miłościwa pani na pamięć dzieci waszych — rzekł Michał — zostawcie mnie losowi memu skoro nie mogę was ocalić.

— Nie, nigdy, nie opuszczę was, dzielny młodzieńcze. Niewiastą jestem ale przymioty rycerskie cenić umiem, potrafię z wami umrzeć pospołu.

Wyrzekłszy to, chwyciła silnie za rękę Michała, pomimo jego oporu.

— A więc niech się dzieje wola Boża, będę was bronić do ostatka, idźcie ze mną i zasłaniając ją jedną ręką, drugą wywijając mieczem Michał postąpił kilka kroków, chcąc się przedrzeć przez zastęp siepaczy, gdyż płomienie rozpalonego chrustu ogarniały już ściany chaty.

Jakkolwiek wszakże z wielką zręcznością i siłą wyjął mieczem, otoczony teraz ze wszech stron zajadłą czerecą, niewiele mógł podołać. Nagle jeden z rabusiów zaszedłszy z boku, ciął go przez ramię i miecz wypadł z obezwładnionej ręki. Cała gromada zawyla radośnie.

— Brać go żywcem — krzyczał opryszek, podczas gdy pani Oporowska zasłaniała sobą swego obrońcę. — Zginęliście już, zginęliście, nie szamoccie się darmo.

Przyszli drudzy, dobywając postronków.

— Ot będzie miał uciechę komtur Ulrych! — wołali.

Nagle przycichli i przyklękli, opuścili ręce, bo z gąszczu leśnego wynurzył się zastęp zbrojnych jeźdźców z wojewodą na czele.

Więźniowie byli ocaleni.

Żołdactwo krzyżackie, widząc oddział wojsk królewskich porzuciło ich, ratując się ucieczką i nie myśląc wcale o zabraniu rannych towarzyszy. Dzięki Bogu i Matce Najświętszej w czas przybyliśmy — rzekł wojewoda, tuląc w gorącym uścisku syna.

Zbliżył się potem do pani Oporowskiej.

— O jakże Bóg okazał się miłosiernym dla mnie, zacna pani — wyrzekł — że mi powraca dziecię moje i pozwala was oswobodzić.

Pani Hanna uczuła teraz, że radość nagła wyczerpała jej siły, wzrok jej mgła zaczęła i pochyliła się opierając o pobliskie drzewo.

— Wody! — zawołał wojewoda, i bryznął nią w twarz zemdlonej, gdy przyszła do przytomności wlał jej w usta trochę wina, które miał przy sobie.

— Dzięki synowi waszemu — rzekła po chwili pani Hanna uszląm ciężkiej niewoli. Bóg za waszą sprawę dokonał reszty, póki też życia stanie mnie i dzieciom moim nie

zabaczymy obowiązków wdzięczności dla waszego rodu. Pozwólcież tymczasem abym zajęła się opatrunkiem dzielnego młodzieńca zranionego w mej obronie.

Czas był po temu, bo Michał osłabiony krwią wpływem, opadł już zupełnie na siłach.

Ze zręcznością właściwą możliwym paniom owych wieków, pani Oporowska zabrała się do dzieła; cięcie nie było szkodliwym, należało tylko krew zatamować czemu poradziła z łatwością, podarłszy na szmaty lnianą chustę. Wojewoda dobył potem zapasów podróжных i pokrzepiwszy niemi zwątlone siły wędrowców, kazał im urządzić na koniach, o ile się dało wygodne siedzenia, a potem wzięwszy ich w środek swego orszaku dla łatwiejszej obrony rannego i kobiety od niespodziewanej napaści, wyruszył w stronę Torunia. Nad wieczorem wydostali się z puszczy na błonie, skąd już widne były wieże miasta.

Podczas gdy w pobliżu Stbumu zachodziły opisane wypadki, panna Marychna, jak to już wiemy, wyczekiwała wiadomości od wojewody. Wczesnym zwykle rankiem biegła do kościoła, a następnie do wojewodziny, która, jak to miała polecenie od męża, ukryła przed nią powrót i niepowodzenie. Nie mogła wszakże nie okazać smutnego przygnębienia i panna Marychna zaniepokoiła się bardzo, tem więcej, że czas mijał bez żadnej wieści. Postanowiła bądź co bądź jechać tam, skąd przybyła, jeżeli wojewoda wkrótce nie powróci. W dzień spotkania jego z matką jakby przeczuwając grożące jej niebezpieczeństwo, wszedłszy do komnaty sióstr, zalała się łzami.

— Co ci to Marychno? — zawoła trwożnie Jadwichna, spostrzegłszy pierwszą jej smutek.

Wnet Cela i Antochna podbiegły i wszystkie trzy okryły pocałunkami siostrę pytając o przyczynę strapienia?

— Czyż nie wiecie, że często bywa mi ciężko na sercu?

To wzruszenie mówić jej nie dało, a dziewczęta, które nieraz również płakały wspomniawszy matkę, uniknęły i podwoiły tylko uściski.

— Wiesz Marychno — rzekła Cela — że dawniej, gdy mi się śniła matuchna, widziałam ją jak wyciągała do nas ręce zdaleka i zawsze nie mogła się poruszyć z miejsca, jak i my również do niej przyliżać, dziś zaś rzecz szczególna, widziałam ją we śnie zupełnie inaczej, była wesołą i uśmiechniętą, stała blisko, ot tak blisko, że zarzucić chciałam ręce na jej szyję, a wtem obudziłam się i płakać zaczęłam, widząc, że to sen tylko...

— Tak sen tylko! — rzekła smutnie Marychna, ale wszystko w mocy Bożej.

— A my się tak gorąco codzień modlimy, żeby nam Bóg matuchnę powrócił — rzekła Antochna — bo czyż mogło by nas spotkać większe szczęście?

— O nie, zapewne — rzekła Marychna ściskając siostrzyczkę i znów mimowolnie zalewając się łzami.

— O nie płacz, Marychno — ozwała się Cela — bo i mnie się zaraz łzy do oczu cisną, a sama nas uczyłaś, że trzeba zawsze płacz powstrzymywać i być mężnemi w strapieniu.

— Dobrze mówisz, Celu moja miła, to też zamiast opłakiwać naszą niedolę starajmy się wstępować w ślady matuchny być miłemi Bogu i ludzior, pocieszając innych. Uradowałyście mię bardzo tem, że podczas mej nieobecności słuchałyście we wszystkim Katarzyny i szyłyście odzież dla ubogich. Antochna bardzo się wprawiła, bo co Cela to już dawno jest dobrą robotnicą i fartuszeki, które obrobiła Jadwichna, wcale źle nie wyglądają.

— Obiecałaś siostrzyczko, że sama to wszystko zanieziesz wraz z nami żonom i dzieciom tych biednych rybaków z Mokrego, którym Wisła zniszczyła na wiosnę całą chudobę i dotąd nie mogą się podźwignąć z biedy, choć wspierać ich nie przestajesz.

— A jakżeby mogło być inaczej? Wszak matuchna uczyła nas zawsze przykładem, że bogacze powinni być tylko szafarzami ubogich... Słońce już niedługo zajdzie, więc idziemy zaraz do Mokrego.

Zachwilę potem wszystkie cztery siostry wraz z Katarzyną i dwoma pachołkami obładowanemi darami dla rybaczek, pospieszyły nad brzeg, gdzie zdawna rozsiadło się stare sioło, zwane Mokre od częstych rzeki zalewów. Straż miejska знаła dobrą i miłosierdną panienkę z Oporowa, więc wypuściła je po za bramy wraz z siostrami na jej pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony”... mówiła: „Na wieki wieków!” a niejeden dodał z cicha:

— Niech was Bóg błogosławi i pocieszy, zacne paniątka!

Gdy doszły do bliskiej wsi Mokre, celu swej wycieczki, obstały ich zaraz dzieci, którym rozdawały kukiełki i pierniki, witając je z radością, a cóż dopiero, gdy do ubogich chatek zaczęły składać dary swoje i zasilek na ciężkie czasy.

Ubiegło chyżo parę godzin, zanim się ze wszystkim obładowały, nie miały wszakże jeszcze ochoty wracać w mury miejskie.

— Czas taki piękny — rzekła Cela, gdybyśmy się jeszcze przeszły trochę, Marychno? Niedaleko już stąd do lasu, a przecież o wilkach o tej porze nie słyhać, a niedźwiedzie siedzą gdzieś het, daleko w głębi puszczy.

— Ale złych ludzi zawsze spotkać można — rzekła Katarzyna, która strudzona wycieczką rada była powracać, Antolka wszakże i Jadwichna zaczęły prosić, aby jeszcze pójść, chociażby tylko do skraj lasu, więc Marychna ustąpić musiała, a w rzeczy może i rada była przechadzać się w stronę, gdzie dotąd wyrwały się jej myśli, bo była to właśnie droga, którą przebyła niedawno z sercem pełnem radosnej nadziei, ulatującej w miarę ubiegłego czasu.

— Wiecie, że nic wam odmówić nie mogę moje drogie pieścizki — rzekła — choć Kachna słusznie mówi, że złych ludzi nie brak, a straszniejsi oni okazali się dla nas, niżeli wilki i niedźwiedzie — dodała z westchnieniem, ale też nie zapuścimy się w puszcę, a na gościńcu pusto i mamy zresztą dwóch pachołków, wszak prawda Piotru i Włostku, że nam nie dadcie zrobić krzywdy?

— O nie, miłościwa panienko — odrzekli, uchylając czapek — ale pozwólcie, że pójdziemy przodem, aby was ostrzedz przed niebezpieczeństwem.

— Idźcie z Bogiem, tylko nie odchodźcie daleko, bo my niedługo powrócimy.

Obaj pachołcy pomknęli żwawo, wywijając koszturami, które mieli w ręku, radzi, że mogą przyspieszyć kroku. Dziewczęta rozbiegły się też po ścieżkach wydeptanych wśród łąki, aby zbierać polne kwiatki.

— Uwiję wianeczek do obrazu Matki Bożej, co wisi nad twem łóżkiem, Marychno — rzekła Jadwichna.

— Ależ dzieci moje, nie możecie przecież długo zatrzymać się tutaj bo inaczej w cóż obróci się przechadzka, której tak pożądałyście?

— Zaraz, zaraz — odparły dziewczynki, ale jakoś nie-
sporo im szło odrywać się od zabawy, której pozbawione były w mieście. Słońce tymczasem miało się ku zachodowi i gdy

wreszcie wyszły na gościniec, nie widziały już przed sobą pachołków, którzy je wyprzedzili.

— Idźmy prędzej, żeby dopędzić Piotruka i Włostka — rzekła Marychna — bo strach mi jakoś tak samej z wami na gościńcu.

— A Kachny i Zofki za nic nie rachujesz, siostrzyczko — rzekła śmiejąc się Antochna!

— Niewielką by one były pomocą gdyby obronić przyszło choćby od psa złego.

— O co to, to nie, panienko — rzekła Zochna, wyłamując młodą brzoźkę przy drodze, z takim koszturą dam ja sobie radę choćby odgonić wypadło nawet rozszalałego wołu.

— A ja odrzekła Katarzyna — potrafiłabym was przecież choć sobą zasłonić, moje rybki, ale gdyśmy wyszły na wzgórze, zdaje mi się, że widzę naszych chłopców, stojących już blisko lasu.

— O tak, tak, i ja ich widzę — rzekła Cela — siedli sobie nad rowem i czekają na nas.

Dziewczęta podwoły kroku i wkrótce zobaczyły wszystkie Piotruka i Włostka, którzy teraz wstali, zwracając się w stronę puszczy, jak gdyby nasłuchiwali czegoś.

— Zostańmy tu — rzekła Marychna — bo zaczyna się zmierzchać i lęk mnie jakiś ogarnia. Pachołcy może nas ztąd dosłyszą, wołajmy, aby powracali.

— Nie usłyszają, bo są jeszcze daleko — rzekła Zofka — lecz podbiegnę do nich.

I pędem strzały puściła się dalej.

Dziewczynki zatrzymały się chwilę ścigając ją wzrokiem.

— Idźmy już — rzekła Marychna.

— O nie — odparła Cela, która miała wzrok najbystrzejszy — widzę, że pachołcy uasi porwali się nagle i sami co tchu ku nam pędzą.

— O Boże — rzekła Marychna, czyżby dopatrzyli jakie niebezpieczeństwo od strony lasu?

— Zofka także zawraca — rzekła Katarzyna widocznie ją o czemś przestrzegli, bo biegnie bez tchu prawie. Oho wiem już teraz czemu wszyscy uciekają — dodała, przysłaniając oczy ręką, aby lepiej w dal patrzeć, widzę wyraźnie jak z lasu wysuwa się coś...

— To zbrojni ludzie na koniach — zawołała Cela.

— Krzyżacy, pewno Krzyżacy — mówiła Jadwichna i Antochna na wpół z płaczem, gdy tymczasem Marychna zawsze przytomna nie chcąc czekać dłużej, wzięła obie młodsze siostry za ręce i w bok z niemi skręciła.

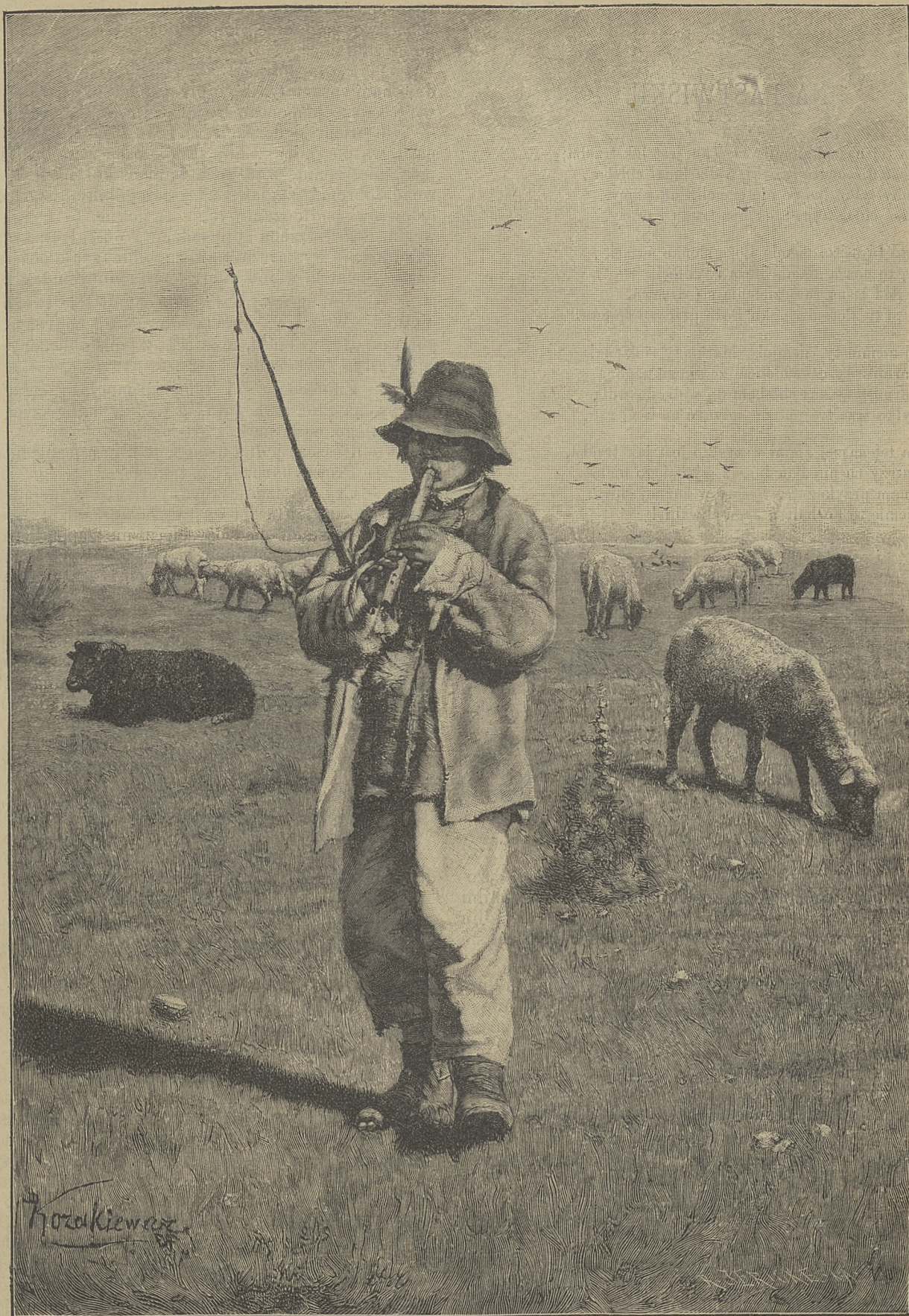
— Kachno, idź za mną z Celą, może, gdy zajdziemy poza wzgórze, nie dojrzą nas zrazu, a tymczasem możemy tą boczną ścieżką schronić się w krzaki. Nie pomożemy nic Zofce i pachołkom, a naraziemy dzieci pozostając tu dłużej.

Dziewczęta pomknęły żwawo, nie zdołały się wszakże oddalić dostatecznie aby ich nie doszły jakieś stłumione okrzyki, a następnie jakby tentent cwałujących jeźdźców.

— Jesteśmy zgubione — pomyślała Marychna — Zofkę i pachołków już pojмали Krzyżacy, a teraz za nami gonią. Krzaki, w których miały się ukryć, widniały już na łą-



Załoga przygotowuje Halbran do dalszej drogi.



Na pastwisku.

ce, trzeba było wszakże przejść rów głęboki, aby się do nich dostać. Dziewczęta przystały z bijącym sercem, bo tentent się zbliżał i zdawało się, że jeźdźcy cwałowali już, tuż po drodze.

(d. n.)

NA PASTWISKU.

Na tej naszej ziemi wszystko jest jak trzeba;
Dość dla owiec trawki, a dla ludzi chleba,
Żeby tylko ludzie nie chcieli, jak ptacy,
Mieć chleba dostatek bez trudu i pracy.

Nad tą naszą ziemią Boże słońko świeci,
Na tę naszą ziemię Boża rosa leci,
A pod jasną rosą zielenią się drzewa,
A przy złotem słońku Boże ptactwo śpiewa.

Oj ziemio ty, ziemio! Matko ty rodzona!
Karmisz ty nas chlebem ze swego zagona,
Karmisz ty nas chlebem do woli, do woli,
Tylko trza trójpotem spłynąć na twej roli.

Na tej naszej ziemi wszystko jest jak trzeba,
Patrzy na nią Pan Bóg z wysokiego nieba,
I nam przykazuje, bysiny w każdej chwili
Ziemie tę kochali a Jego chwalili!

J... a.

SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Przy tej więc robocie, której przewodniczył doświadczony Hardie, podczas miarowego łoskotu młotów, upłynęło dni kilka, poczem zabrano się do opatrzenia masztów, rei, lin i żagli, w czym znowu niezrównanym mistrzem okazywał się Marcin Holt.

By na swój sposób zużytkować te chwile, robiłem dnia każdego bliższe i dalsze wycieczki pod opieką miejscowego przewodnika, gotowego mi zawsze służyć w zamian za piastry pełne dla niego uroku.

Przekonałem się też niebawem, że wyspa West-Falkland znacznie jest większą od Saledad, a nadto u południowego krańca Byrons-Sound, posiada drugą wygodną przystań.

Ludność miejscowa dochodząca wówczas zaledwie kilka setek, składała się z Anglików, Portugalczyków, Hiszpanów oraz krajowców z Pamпасów Argentyńskich i Ziemi Ogniowej. Natomiast hodowane przez nich, a raczej dziko hodujące się same, nieprzeliczone stada owiec i bydła rogatego, wprowadziły mię w rzeczywiste zdumienie. Ale bo też sama nawet Australia, jakkolwiek tak bogata w zyzne pastwiska, nie przedstawia suciej zastawionych uczęst, dla wszelkiego gatunku przeżuwających i roślinożernych.

To też powziąłem słuszne przekonanie, że Falklandy z wielu względów są wymarzoną przystanią dla okrętów, dążących bądź to ku cieśninie Magelańskiej, bądź też, jak nasz Halbran, ku ziemiom podbiegunowym. Świeżego mięsa bowiem i słodkiej wody nie zabraknie tu nigdy.

— Jakże uważasz pan, czy dostateczne są me zabiegi, aby ochronić statek od niebezpieczeństw, na jakie wkrótce może być narażonym? — zagadnął mię kapitan.

— Co do mnie, ufam w jaknajlepsze powodzenie wyprawy — pospieszyłem ze szczerą odpowiedzią — zarówno bowiem twój żaglowiec, kapitanie, jak i cała załoga budzą zupełne zaufanie.

— Postaramy się, aby inne jeszcze warunki odpowiednio nam sprzyjały, a co przechodzi już moje siły, składam w ręce wszechmocnego Boga! — rzekł Len Guy z przejęciem. — Nie wiem — dorzucił po chwili — co kiedyś dać może para, wątpię jednak, aby statek z maszyną dość łatwo ulegającą zniszczeniu, z tą gmatwaniną kół i kółek, mógł dorównać dobremu żaglowcowi, szczególnie w podróżyach wśród lodowców podbiegunowych. A potem te konieczne zapasy węgla, które trzeba sprowadzać z odległych krajów nieraz... gdy obecnie wystarcza nam zupełnie znajomość spożytkowania siły wiatru, wśród dobrze nastawionych żagli.

— Jestem w tym względzie zupełnie twego zdania, kapitanie. Wracając jednak do naszej podróży, która może potrwać dłużej nieco, nad czas z góry obliczony, sądziłbym, że kwestya żywności...

— Zabieramy jej tyle, iż mogłaby nam wystarczyć choćby na całe dwa lata, a jest w najlepszym gatunku ze wszystkiego, co posiada Port-Egmont.

— Jeszcze jedna uwaga, jeśli pan pozwoli...

— Proszę bardzo, cóż takiego?...

— Czy nie uznajesz pan potrzeby wzmocnienia swej załogi? Obecna jej liczba wystarcza wprawdzie zupełnie w zwykłych warunkach podróży, lecz nie zapominajmy, że tam, gdzie zamierzamy się udać, może zająć konieczność zbrojenia nawet starcia. Toż Artur Prym obliczał mieszkańców wyspy Tsalal na parę tysięcy. A jeśli brat pański i jego towarzysze zostają u krajowców w niewoli...

— Spodziewam się, panie Jeorling, że artylerya nasza w każdym razie obroniłaby lepiej Halbran, jak to mogła uczynić artylerya Oriona. Mimo tego jednak rozumiem to dobrze, iż nieodzownie trzeba nam więcej ludzi; mam też zamiar zrekrutować jeszcze pewną ilość maitków.

— Czy przedstawia to wielkie trudności?...

— Tak i nie!... Mam obietnicę gubernatora, że mi w tym względzie pomoże.

— Sądzę, że podwyższeniem żołdu, możnaby pozyskać sobie przychylność tych ludzi..

— Żold w każdym razie podwojonym będzie, zarówno dla dawnych jak i dla nowo zaciągniętych...

— Pragnąłbym, kapitanie, abyś przyjął mię w części za współnika w tej wyprawie. Wydatki są znaczne, a kasa moja dość jest zaopatrzona, gotowy jestem każdej chwili wyłożyć sumę potrzebną...

— Z głębi serca dziękuję ci, drogi panie! Później zobaczymy jak się rzeczy ułożą, na teraz jednak, sądzę, wystarczy mi własny kapitalik. Abyśmy tylko jak najprędzej dobrali sobie ludzi i za jaki tydzień gotowi już byli do drogi!

Propozycja, którą uczyniłem kapitanowi Len Guy, nie była rzuconą nieopatrnie, pod wpływem chwilowego tylko zapału. Przeciwnie, im dłużej zostawałem pasażerem Halbranu, tem szczerzej przejmowałem się celem podróży jego, tem żywiej do serca brałem to dziwne zaiste powiązanie wypadków. Umysł mój zawsze trzeźwy i rozważający, uległ pod wpływem dzieł Edgarda Poë takiej zmianie, iż zdawało mi się nieraz, jak owemu bohaterowi z powieści „Dziedzictwo Arnheim”, „że podróż do mórz południowych odpowiada każdej istocie ludzkiej, dla której zupełne odosobnienie, wszelka trudność i walka, stanowią najwyższy ideał szczęścia”. A nadto, czyż nie zależało tu głównie na spieszeniu z pomocą nie-szczęśliwym, których los mógłby poruszyć nawet i kamienne serce!...

Wiadomość o zamierzonej przez kapitana podróży poza koło biegunowe, jako i o powiększeniu załogi Halbranu, rozeszła się szybko po wyspie i wywołała wśród tamecznej,

przeważnie z marynarzy składającej się ludności, wielkie zainteresowanie.

Gdyby jednak szło tylko o dobor siły na jakąś krótką, między wyspami Sandwich a Nową Georgią, wyprawę rybacką, stawiloby się niezawodnie tylu amatorów, że kapitan miałby tylko trudność w wyborze.

Dalekie wszakże i nieznanie strony biegunowe odstraszyły wielu, a z tych co się przedstawiali Len Guy nie przyjmował pierwszego lepszego, lecz zasięgał wprawie wiadomości o nim, by nie zgromadzić na swój statek ludzi niespokojnych i nie znających karności.

W tym względzie wielką pomocą był mu uprzejmy gubernator, dla którego los wyprawy nie pozostał rzeczą obojętną.

Dzięki też jego staraniom, oraz obietnicy hojnej nagrody, kapitan wkrótce potrójnie zwiększył swą załogę, a wśród nowo przybyłych, jak się później okazało, byli w większej części ludzie dobrzy i pracowici, znaleźli się jednak źli i nieulegli. Ogólnie jednak biorąc, nie można było zrobić lepszego wyboru.

Tak więc z 19-tu rekrutów, pięciu było Anglików, pięciu Amerykanów, ośmiu zaś pochodzenia nieznanego, w pół Holendrów, w pół Hiszpanów lub krajowców z Ziemi Ogniowej. Najmłodszy z nich liczył 19, najstarszy 40 lat. Większa część obeznana już była z życiem i obowiązkami marynarza, ci zaś, którzy dotąd nie pełnili służby na żadnym okręcie, mieli stanowić siłę zbrojną załogowca.

Ostatecznie załoga Halbranu, nie biorąc mnie w rachunek, liczyła z kapitanem i jego oficerem aż 31 ludzi, co zdawało się już zupełnie wystarczającym.

W wigilię odjazdu wszakże, właśnie gdy kapitan stał w porcie, zbliżył się do niego człowiek jakiś, który ubraniem swem, a więcej jeszcze ruchami zdradzał zawód marynarza, a który przemówił głosem ostrym i dość niewyraźną mową:

— Mam do ciebie prośbę, kapitanie...

— Jaką? — zapytał tenże.

— Zechciej mię rozumieć. Czy masz jeszcze miejsce wolne na swym statku?

— Czy dla marynarza?

— Tak jest, dla marynarza.

— Tak i nie — odpowiedział kapitan.

— Pod jakimi warunkami tak? — pytał przybyły.

— Jeżeli ten, który się przedstawi będzie mi odpowiedni...

— A więc czy zechcesz mię pan?

— Jesteś marynarzem?

— Żyłem na okrętach przez 25 lat...

— Gdzie?

— Na morzach południowych.

— Daleko?

— Tak... zechciej mię pan rozumieć... bardzo daleko...

— Twój wiek?

— Lat 44.

— Jesteś obecnie w Port-Egmond.

— Trzy lata będzie na święta Bożego Narodzenia, jak tu przyjechałem.

— Czy zamierzałeś najać się na statek rybacki?

— Nie.

— Cóżże zatem tu robił?

— Nic. Zechciej mię pan rozumieć, ja nie chciałem więcej służyć...

— Więc dla czego teraz się przedstawiasz?

— Mam pewną myśl... Wiadomość, że jedziesz pan do bieguna... Tak jest, jabym pragnął... jabym chciał z pozwoleniem pańskim, należeć do tej wyprawy...

— Czy jesteś znanym w Port-Egmond?

— Znamą mię. Nie zasłużyłem nigdy na nagane odkał tu jestem.

— Więc dobrze, zasięgnę wiadomości o tobie.

— Pytaj kapitanie, a gdy zezwolisz, będę na pokładzie dziś jeszcze.

— Jakże się nazywasz?

— Hunt.

— A narodowość twoja?

— Z Ameryki jestem, kapitanie.

Zewnętrzny wygląd Hunta wyróżniał go z pomiędzy wielu jego towarzyszy. Średniego zaledwie wzrostu, lecz z silnie rozwiniętym torsem, zdradzał niepomiarłą siłę fizyczną, co potwierdzały długie, muskularne ramiona, zakończone olbrzymimi rękami. Ogorzałą twarz jego przypominała kolorem spaloną cegłę, otaczały świecące już, w wielkim nieładzie utrzymane włosy, a ponad gęstą brwią błyszczały dziwnym wyrazem małe, ciemne oczy. Co zaś nadawało osobliwy charakter całej tej fizygnomii, to bezmierne wielka głowa, i szerokie aż do śmieszności, przecięcie ust, o wazkich wargach, poza którymi jaśniały długie, białe zęby, tak rzadkie u marynarzy, którzy w tych stronach mianowicie, łatwo podlegają skorbutowi.

Wiadomości jakie zdołał zebrać kapitan o Huncie, nie były zbyt obszerne. Wprawdzie już przed trzema laty przybył on na Falkland; mało jednak towarzyski, trzymał się zawsze zdala, zajęty samotnie rybołówstwem, które mu przynosiło dostateczne dochody na skromne jego potrzeby. Nie widziano go nigdy pijanego, nie wszczynał żadnych kłótni lub bójek, lecz prócz tego, że był marynarzem, z przeszłości jego nikt nie powiedzieć nie umiał.

Czy jednak można było żądać dokładnego życiorysu o człowieku, zajmującego skromne miejsce majtka okrętowego? Powyższe też dane wystarczyły kapitanowi, i Hunt został przyjętym na Halbran.

Ze wznoczoną więc załogą, z zapasem wszelkiej żywności, jak: mięsiva, krupów, sucharów, mąki oraz baryłkami wódki i świeżej słodkiej wody, z dostarczoną przez gubernatora bronią i potrzebną amunicją, załogowiec nasz stanął wreszcie gotowy do dalekiej podróży, która go czekała.

Rankiem 27-go października, wobec zgromadzonej ludności wyspy Falkland i reprezentantów miejscowej władzy, po ostatniej zamianie życzeń, podniesiono kotwicę i gdy północno-zachodni wiatr wzdął żagle, opłynęliśmy zdala przylądek Tamar-Hart, zostawiliśmy za sobą wyspę Soledad z przylądkiem Dolphin i Pembroke, i słońce jeszcze nie zeszło z horyzontu, gdyśmy się znaleźli na pełnem morzu.

Czy powróci tu kiedy Halbran? Bogu jednemu wiadomo... W Jego rękach spoczywają losy tych odważnych ludzi, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwa, dążą śmiało w imię miłości bliźniego, ku odstraszającym przestrzeniom antarktycznym.

Na początku podróży.

Opuściwszy Falklandy, kapitan Len Guy skierował się ku wyspom Sandwich, tą samą drogą, którą w 1833 r. przebył Biscoë zużytkowując na ten przejazd 36 dni czasu. Nieprzyjazna jednak pogoda zmusiła tego żeglarza zboczyć następnie aż do 45° długości wschodniej, gdzie właśnie odkrył ziemię Enderby.

— Oto droga, którą zakreślił Biscoë, — tłumaczył kapitan, wskazując oznaczoną linię na karcie, gdyśmy się raz z Jem Westem znajdowali w jego kajucie, a oto ta, którą w 1822 r. przebył szczęśliwszy od niego Weddell.

— Wybierzmy w takim razie plan podróży Weddella — rzekłem — tego prostego rybaka, który bez odpowiedniego wykształcenia, dotarł jednakże dalej, aniżeli wszystkie wyprawy naukowe zdołały to uczynić.

— Takiem jest też moje zdanie, panie Jeorling. Jeżeli jednak Halbran nie znajdzie żadnej w żegludze swej przeszkody, moglibyśmy stanąć już w połowie grudnia przed zaporą lodową, co byłoby za wcześnie. Weddell bowiem dopiero w połowie lutego dosiagnął 72 równoleżnika i wtenczas, jak to sam zaświadcza, nie znalazł już ani odrobiny lodu na swem przejściu, co mu dozwoliło posunąć się aż pod 74° 36'. Zaden zaś okręt prócz Oriona, nie dotarł do tego punktu szerokości południowej. Jest więc prawdopodobnem, że jeżeli istnieje jakiś ląd stały pod samym biegunem, to w miej-

scu tem musi się znajdować głębokie werznięcie się wód, skoro Artur Prym mógł posunąć się jeszcze dalej.

Jem West słuchał swego kapitana z uszanowaniem podwładnego, nie robiąc uwagi żadnej, a tylko pilnie śledząc wzrokiem znaki i linie na rozłożonej karcie.

Nie krępowany takimi względami:

— Sądziłem zawsze, iż Halbran będzie jak najdokładniej trzymał się drogi, którą odbył Orion — zauważyłem.

— Naturalnie, o ile tylko warunki pozwolą — odparł kapitan.

— Więc brat pański opuściwszy Tristan d'Acunha udał się najpierw na poszukiwanie wysp Aurora, a nie znalazłszy ich, przeciął koło biegunowe między 41 a 42 stopniem długości geograficznej, co nastąpiło dopiero, według Artura Pryma, pod datą 1-go lutego.

— Pamiętam o tem. Chciałbym też aby Halbran dosięgnął przede wszystkim wyspy Bennet, a stamtąd podążył do Tsala! Rzecz główna, byśmy równie jak Orion i jak okręt Weddella znaleźli przed sobą wolne już wtenczas morze!

— Czy nie lepiej w takim razie byłoby, przeczekać jeszcze czas jakiś u któregośkolwiek z lądów? — zrobiłem uwagę.

— Uczynimy, co okaże się potrzebnem. Ow olbrzymi jednak wół lodowy otaczający dokoła biegun, jest wedle opisów niby mur jakiś, w którym nagle otwiera się brama i równie nagle zamyka. Trzeba być blisko, aby z tej chwili korzystać i przejść na drugą stronę, nie troszcząc się o warunki powrotu.

(d. c. n.)

Zmiany barwy kwiatów.

Można wykonać zabawne doświadczenia na wielkiej liczbie kwiatów, zanurzając je w eterze zmieszany z trochę amoniaku, przybierają one wtedy barwę zieloną. Nadają się tu różowe kwiaty bodzisków, lilia, róże czerwone i różowe, heliotrop i wiele innych, liście zaś dają się barwić na czerwono. Poddane działaniu tego samego płynu kwiaty białe, stają się żółtymi, żółte zaś zachowują swą barwę. Co do innych kwiatów o odcieniach niejednostajnych, rezultaty są jeszcze ciekawsze. Tak np. fioletowe zewnętrzne płatki pachnącego groszku, stają się ciemno-błękitne, płatki zaś wewnętrzne jasno-zielone.

Jeżeli poddamy kwiatek trochę wilgotny działaniu pary amoniaku, wyniki będą te same, lecz działanie jest powolniejsze. W tym celu można przytwierdzić kwiatek za pomocą wosku do dna słoju i postawić go dnem do góry na talerzu, zawierającym parę kropel amoniaku.

Materya barwiąca, kwiatu nie niszczy tym sposobem, bo gdy potem wszystkim zanurzymy kwiat w czystą wodę, po kilku dniach powróci do właściwej barwy.

Kwiat poddany działaniu kwasu np. pary kwasu chlorowodorowego czyli solnego, stauie się w kilka godzin karminowym, którą to barwę zachowa, gdy go umieścimy w miejscu

suchem i cienistym, wysuszywszy go poprzednio na powietrzu w ciemności.

Zanurzony w lekkim roztworze potasu lub sodu, tenże sam kwiat da zabarwienie podobne do tego, jakie przybrał pod działaniem amoniaku, ale nie będzie tak świeżym, przybierze barwę niebieską, która po pewnym czasie zmieni się na zieloną.

Malwy, białe i czerwone kwiaty pelargonii, maku polnego i liczne z rodziny dzwonkowatych stają się niebieskie a później zielone, gdy je zanurzymy w wodzie alkalicznej, przybierają zaś barwę żywą czerwoną, pod działaniem silnych kwasów.

Z DAŁSZEGO ŚWIATA.

Rektor uniwersytetu we Friburgu. — Balonem do bieguna. — Wystawa kotów.

Rektorem uniwersytetu we Fryburgu w Szwajcaryi został wybrany Polak, prof. dr. Józef Kowalski, syn dra. Tadeusza Kowalskiego, radcy komitetu Tow. kred. ziemskiego.

Inżynier szwedzki Andrée już w zeszłym roku zamierzał odbyć wyprawę balonem do bieguna północnego, lecz niepomyślnie wiatry przeszkodziły mu w wykonaniu tego zamiaru. Balon pozostał przez zimę w specjalnie do tego zbudowanym budynku na wyspie duńskiej, położonej w pobliżu północno-zachodniego kąta wyspy Szpitzberg. Obecnie nadeszła wiadomość z Tromsø, że odważny podróżnik przy sprzyjającym wietrze wzniosł się już obecnie balonem, którym zamierza przebyć biegun północny. Uwaga całego cywilizowanego świata towarzyszy tej podróży, która, w razie szczęśliwego ukończenia, oddać może nauce nieocenione usługi.

Andrée odznacza się wyniosłą postawą, ma nos orli i przenikliwe niebieskie oczy, oraz wyraz niezwykłej energii. Liczy obecnie 42 lata, jest bezzęnnym, z zawodu inżynierem.

Międzynarodowa wystawa kotów odbędzie się w październiku r. b. w Monachium. Program obejmuje: koty domowe (jednobarwne, pręgowane, łaciaste); koty obco-krajowe angorskie, perskie, chiński (z takimże rozróżnieniem co do barwy); skóry kocie, wizerunki kotów i obrazy kocie, literaturę i sprzęty używane do hodowli i spożytkowania kotów. Meldować należy koty najdalej do 20 września, przybyć powinny najpóźniej 30 września w południe pod adresem: „Internationale Katzenausstellung, München, Centralsäle” franco. Nagrody będą: 25 honorowych, złożonych z przedmiotów sztuki, dalej medale złote, srebrne, brązowe i listy pochwalne.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Pałac Kazanowskich (z ryc.) — Wojny krzyżowe. — Panna Marychna z Oporowa przez A. z Ch. Borkowską. — Na pastwisku, wiersz (z ryc.) — Sfinks lodowy, przez Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Zmiana barwy kwiatów. — Z dalszego świata. Dodatek: Dwie małpy, wiersz (z ryc.) — Oleś, Broniś i Winuś. — Za karę, komedyjka. — Jugienka przez Z. R. — Łamigłówni i rozwiązana. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE



DWIE MAŁPY.

(Bajka).



Dwie małpy raz wśród lasu siadły z dziećmi swemi,

Zastały tam zabawki stojące na ziemi.

Przypadkiem zostawione: spodki, filiżanki,

Imbryczki i dzbanki.

Stare, jakoś zajęte sobą niesłuchanie,

Byłyby może nawet nie spojrzwały na nie;

Kiedy wtem jedna z młodszych ozwie się znieścaka:

— Cóż to za cacka?

I do czego być mogą te skorupki śmieszne?

Jak to pocieszne!

Na to poważna Misia, co w dziecięce lata,

Przebiegła, choć w niewoli, duży kawał świata,

Zaczęła opowiadać z swą wymowną wiedzą

Co to są za istoty co z tych naczyń jedzą.

Jak się biorą do jadła by się nie powalać,

Pokarm muszą wprzód krajać, wodę w szklanki nalać.

— I na to im ma służyć rozum ich głęboki?

Zachichotała małpka, biorąc się za boki.

Do czegoż tyle naczyń, trudów i zachodu?

Aby nie czuć pragnienia i nie umrzeć z głodu?

U nas kiedy się komu owoców zachciewa

Strząsa je z drzewa.

Wody ze stoku prosto się napije,

Ot, i tak żyje.

Przecież tak lepiej — rozumie się samo.

Nieprawdaż mamó?

Lecz zagadniona, na to zapytanie

Odpowiedziała: Mylisz się kochanie.

Wprawdzie dla zwierząt, dzięki łaskom nieba,

Sama natura daje co potrzeba.

Lecz ludzie mądrą obdarzeni duszą,

Ciągłych postępów drogą kroczyć muszą.

Więc zamiast z ich pomysłów szydzić tak zuchwale,

O tem czego dziś nie znasz, nie rozprawiaj wcale

Bo jakiegoż rozumu, można się spodziewać,

Po tym, co zamiast zbadać, woli rzecz wyśmiewać.

E. L.

Oleś, Broniś i Winuś.

(Dokończenie).

Tu jakby na zawołanie, pokazał się z za węgła Broniś, zmieszał się trochę zobaczywszy Olesia, ale po chwili wahania podszedł i dał pięć groszy Winusiowi, który w radości pocałował go w rękę i pobiegł do matki.

— Wiedziałem już — rzekł Broniś — że mu codziennie przynosisz dziesięć groszy, a skądże masz te pieniądze? *wszakże mówisz, że nie masz.*

— Nie pytaj się Bronisiu, ani wyobrażasz sobie jak je drogo okupuję; toż prosiłem mamę ażeby mi płaciła za lekcye.

— Wszakże powiedziałeś mamie na co potrzebujesz?

— Nie, Bronisiu.

— Nie? a czyżby ci mama nie dała, jeżeliby wiedziała?

— Owszem, ale jakżby to była z mej strony zasługa, oddając mamy pieniądze? A tak pieniądze są mamy, ale moje upokorzenie.

To mówiąc, łzy mu w głosie drżały.

— O! jakiś ty dobry, Olesiu! a ja! ja! ale nic, już się poprawię, od jutra całą sumę będę oddawał chłopcu.

— Winusiowi? o, dziękuję ci, mój drogi, i uściskawszy się serdecznie, rozeszli się.

Pani Karnicka wróciła rozrzuwnioną, Olesia już znalazła, zawołała go, i całując serdecznie, powiedziała, że wszystko słyszała i pochwała jego postępek względem chłopca biednego, ale dla czego sprawił matce taką boleść, i opowiedziała co o nim myślała.

Oleś rozplakał się na dobre, i całując ręce matki, upewniał, że nie przyszło mu na myśl ażeby tem zrobił taką przykrość.

— Otóż widzisz, mój Olesiu, że nie doznałabym tej boleści, ażebyś powiedział mi całą prawdę. Dzieci z rodzicami powinny być zawsze otwartymi i dzielić się każdą myślą.

Oleś rzucił się do nóg matki przeprasząc i przyrzekając nadal być zawsze z nią szczerym i o każdą rzecz się poradzić.

A cóż się stało z Winusiem i matką jego? Oto Oleś i Broniś oddawali im codziennie pieniądze, bo pani Karnicka i rodzice Bronisia, nie cofnęły wypłaty, tylko już nie za naukę, ale dawali dla matki Winusia, a oprócz tego dopomogli biednej kobiecie, że mogła urządzić u siebie pralnię, a widząc ochotę Winusia do nauki, rodzice chłopców złożyli się i oddali go do szkoły, po skończeniu której, wstąpił do rzemiosła i był bardzo dobrym stolarzem i jako pan majster nie pozwolił matce ciężko pracować, a uprosił żeby była u niego gospodynią. Pan Bóg pobłogosławił ich pracy i po latach kilkunastu schodzili się często, Oleś, pan inżynier, Broniś doktor i Winuś wzorowy rzemieślnik, na rozmowę i radę o dobro ogółu, każdy w swoim zakresie.

Zofia Sawicka.

ZA KARĘ.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

OSOBY.

JÓZIA	
AMELCIA	Rodzeństwo.
KAZIO	
JANEK	Dzieci ze wsi.
ZOŚKA	
ELŻBIETA	Służąca.

(Scena przedstawia pokój szkolny, przy stole zarzuconym książkami, siedzą: Józia, Amelcia i Kazio).

SCENA I.

JÓZIA (rzucając książkę na stół). Otóż nie będę się uczyć i koniec. Mama, panna Julia i Stefcia bawią się na wilycie, a ja mam się męczyć nad nudną geografją? Nie, takę naiwną nie będę.

KAZIO. Nareszcie zrozumiałaś, jak niesprawiedliwie postąpiono z nami, biorąc Stefcie na zabawę do cioci Stasi, a nas zostawiając w domu.

AMELCIA. Mnie się zdaje, że właśnie sprawiedliwość wymagała tego, żebyśmy zostali. Bo przecież Stefcia umiała dzisiaj lekcye doskonale, gdy tymczasem ty, Józiu, zupełnie nie nauczyłeś się geografii, Kazio znów wypracowania nie napisał weale, a ja wierszy francuskich nie umiałam. Panna Julia więc za karę kazała nam pozostać w domu i uczyć się lekcyi, których nie umieliśmy.

JÓZIA. To się ucz, kiedy się tak ugniewasz za panną Julją, ja ani myślę!... Co mię to obchodzi, gdzie leży jakie miasto, albo gdzie jaka rzeka wpada? Czy Warszawa będzie leżeć nad Wisłą, czy nad Amazonką, to mi wszystko jedno.

KAZIO. Wiesz, Józiu, że jesteś rozsądną dziewczyną, lubię cię za to! Ja też nie myślę pisać tego wypracowania. Niech się Amelcia męczy nad wierszami. Dużo jej przyjdzie z tego?

AMELCIA. A wam dużo przyjdzie z tego, że będziecie próżnować?

JÓZIA. Przynajmniej porozmawiamy sobie o tej zabawie, co nas ominęła.

AMELCIA. To rozmawiajcie, ja wolę się uczyć. Przynajmniej nie myślę o tej przykrości, jaką sprawiła mi dzisiejsza kara. (Pochyliła się nad książką i uczy się z cieniem).

KAZIO. Zapewne będą tańczyć, bo słyszałem ciocia zamówiła fortepianistę do grania.

JÓZIA. Zapewne będą tańce. Wczoraj do przyjechała Lucia, która szalenie lubi tańczyć, więc głównie dla niej urządziła tę zabawę.

AMELCIA (wzdycha). Ach! Boże!

KAZIO. Co tak wzdychasz ciężko, Amelciu?

JÓZIA. Pewnie te wiersze francuskie nie chcą wejść do głowy?

AMELCIA. E! nie są one tak trudne, tylko...

KAZIO. Tylko co?

AMELCIA (*z płaczem*). Czemu ja ich dzisiaj nie umiałam!... Byłabym pojechała do cioci, wytańczyłabym się!... Tam jest też Lucia, a ja mam jej tyle do powiedzenia!... Ach! Boże! Boże!... (*Zakrywa twarz rękami i płacze*).

JÓZIA. Moja Amelciu, nie bądź dziecinną; tu płacz nie już nie pomoże. niesprawiedliwie z nami postąpiono, to prawda, ale rozczulać się nad tem nie warto.

KAZIO. Rzuć lepiej książkę. Czy się nauczysz wierszy, czy nie nauczysz, to wszystko jedno. I tak już na zabawie nie będziesz.

AMELCIA. I cóż będę robić, gdy rzucę książkę? Myśleć może, jak się tam bawią u cioci? O! nie, nie chcę, na samo wspomnienie łzy mi się cisną do oczu.

JÓZIA. Więc wolisz się uczyć?

AMELCIA. Wolę. Przynajmniej mama i panna Julia będą zadowolone ze mnie.

KAZIO. Dużoby mię to obchodziło, czy kto będzie zadowolony.

AMELCIA. Mnie jednak to obchodzi, bo już nigdy nie chcę zasłużyć na karę. Proszę mi więc nie przeszkadzać.

(*Uczy się. Kazio i Józia siedzą przez chwilę w milczeniu*).

JÓZIA. Wiesz Kaziu, co mi przyszło do głowy?

KAZIO. No, cóż takiego?

JÓZIA. Siedzieć tak i nic nie robić, to nudno, prawda?

KAZIO. Rozumie się, że nudno, mnie już oczy do snu się zamykają (*ziewa*).

JÓZIA. Bawmy się więc.

KAZIO. Ech! jakąż to zabawa we dwoje tylko?

JÓZIA. Może nas być więcej. Pójdę po Janka i Zośkę. Zdaje mi się, że i Amelcia posłucha naszej rady i rzuci te niezdolne wiersze.

KAZIO. Ach! tak, możemy się zabawić doskonale, pójdę z tobą Józio i przyprowadzimy Janka i Zośkę, oni chętnie przyjdą. Tobie Amelciu jeszcze raz radzę, żebyś poszła za naszym przykładem. Namysł się dobrze! (*wychodzi*).

SCENA II.

(*Amelcia sama*).

AMELCIA. Doprawdy, nie wiem, co robić! Czy uczyć się tych wierszy, czy też pobawić się z nimi? (*namyśla się*). Ech! przecież to nie będzie nic złego, gdy na pół godziny odłożę książkę. Janek i Zośka, chociaż są dziećmi ze wsi, jednakże mama pozwala bawić się nam z nimi czasami, bo ich matka jest porządną bardzo gospodynią. Tak, będę więc należeć do zabawy, nic złego w tem nie widzę. Wierszy później się nauczę, bo muszę je umieć jutro, jak pacierz. Nie chcę już nigdy zasłużyć na karę! Dosyć mię już to kosztuje, że nie jestem dzisiaj 'u cioci Stasi. (*z płaczem*). Boże! Boże! jak oni muszą się tam bawić wśmianiem! (*Wchodzi Elżbieta*).

SCENA III-ci.

ELŻBIETA. A gdzież jest pan Kazimierz i panna Józia?

AMELCIA. Poszli po Janka i Zośkę, bo nam się nudzi bardzo.

ELŻBIETA. A czy to już lekcye umiecie? Bo pani mi zapowiedziała, żeby dać baczenie na panicza i panienki.

AMELCIA. Ja już umiem.

ELŻBIETA. A panna Józia i panicz?

AMELCIA. Zapewne też już się nauczyli, inaczej nie myśleliby o zabawie.

ELŻBIETA. Że się panienka nauczyła w to wierzę, ale panicz i panna Józia, to leniuszki!...

AMELKA (*zawstydzona, na stronie*). Ach! niepotrzebnie skłamałam! Ona nawet tego nie przypuszcza. (*głośno*). Moja Elżbieto i ja nie jestem bardzo pilną. Najlepszy dowód dzisiejsza kara.. Żeby nie leniuszek, byłabym się bawiła wesoło.

ELŻBIETA. To raz się panience zdarzyło. Jestem pewną, że się więcej nie powtórzy.

AMELCIA. Och! zapewne! Żeby Elżbieta wiedziała, jak to przykro pozostać w domu, gdy rodzice, siostra i nauczycielka pojechali na zabawę!... Ja myśleć o tem spokojnie nie mogę.

ELŻBIETA. Wierzę bardzo, że panience jest przykro, ale trudno, stało się, już niema co się martwić, bo i tak się nie wróci.

AMELCIA. Ja też sobie ciągle to powtarzam, ale to nic nie pomaga i pomimo woli łzy się cisną do oczu.

ELŻBIETA. Tak, tak, łatwiej zawinić, niż pokutować.

AMELCIA. Słyszę głos Kazia, zapewne już idą.

ELŻBIETA. Kiedy więc już lekcye umiecie, to bawcie się grzecznie i zgodnie, ja idę do swego zajęcia. (*Wychodzi*).

(*d. c. n.*)

JAGIENKA

PRZESZ Z. R.

Druga połowa XVII wieku bardzo smutnie zapisała się w dziejach Polski.

Karol Gustaw, król szwedzki, zalał cały kraj swojemi wojskami, zdobywał gród po grodzie. W trwodze i ucisku przechodziła każda godzina, nikt nie był pewnym co jutro przyniesie.

W tym smutnej pamięci 1655 r., chociaż miała nadejść wczesna zima, październik był ciepły, jakby to była zaledwie połowa lata, zieloność jeszcze świeża, drzewa okryte liściem. We wsi Murowana Wola, pomimo, że o Szwedach wieści tu tylko zalaływały, było jeszcze spokojnie. Dziedzic tej majątności, pan miecznik Krzyski, wierny królowi Janowi Kazimierzowi, wraz ze swoim, za ledwie ośmnastoletnim synem, był w obozie pana Czarneckiego. Wieści od niego bywały nadzwyczaj rzadkie. W nieustannych utarczkach ze Szwedami, nie wiele miał czasu na pisanie listów, a i wysyłane, w tych burzliwych czasach często nie dochodziły do Murowanej Woli. Pani miecznikowa skazana była na śmiertelną trwogę o męża i syna. Obszerny modrzewiowy dworzec w Woli, położony wśród zamożnej wsi, otoczony ogrodem, którego najpiękniejszą ozdobą były cieniste ulice lipowe, pełen zawsze życia i gwaru, dziś stoi eichy i smutny.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożyła Cesia S. z Końskich.

Z następujących sylab: An—da—a—mo—ma—il—
ce—ka—isle—e—wło—is—cy—zam—driol—ma—na—
drzew—tej—men—cy—ra—bro—cia—pa—tra—be—li—
szek—nas—ko—lia—luch—wek—han—zi.

Utworzyć 14 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożyć powinny imiona i nazwiska dwóch polskich poetów.

Znaczenie wyrazów: 1) Znany ilustrator i rysownik. 2) Miasto w Syrii. 3) Owoc smaczny, poch. z Brazylii i Indyi Wschodnich. 4) Drzewo iglaste. 5) Słynny malarz polski. 6) Jezioro w Rosyi. 7) Patronka muzyki. 8) Owad z rzędu prostoskrzydłych. 9) Dopływ rz. Dordogne. 10) Rzeka w Hiszpanii. 11) Miasto nad Wisłą. 12) Miasto w Persyi. 13) Instrument muzyczny. 14) Rzeka w połud. Afryce.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go:

Zagadki: Puszczyk.

Rebusiku:

Słowo wyleci wróblem, a powróci wołem.

Skrzynka do listów.

Pani *Maryi Potockiej*. Z wielką wdzięcznością otrzymaliśmy bieliznę i sukienki, któremi Sz. pani obdarzyła biedną działwę za naszym pośrednictwem. Przy odbieraniu przesyłki nie ponieśliśmy żadnych kosztów.

Janowi Pławińskiemu. Pozostała kwota od opłaty z II-go półroczu, wystarczyła w zupełności na wszelkie koszty przesyłek i nic nam się już nie należy.

Gałązce heliotropu i Różowej lewkonijce dziękuję z głębi serca za miłe ich, dobre i ciekawe liściki, będąc na wylocie dłużej nie odpisuję, za zwłokę w dotrzymaniu obietnicy przepaszam i solennie przyrzekam poprawę w niedalekiej przyszłości.

Chciałabym bardzo, miła moja *Laszko* znajdować się w gronie tych jaskółek, których lot chyży lubisz obserwować. Niestety, nie odnajdziesz mnie pomiędzy niemi, mówię niestety, bo znam piękną okolicę, w której mieszkasz, pragnęłabym polecieć w tamtą stronę, zapukać do twego okienka, pozdrowić cię i frunąć dalej... Losy jednak zrzędziły inaczej — gdzieindziej skrzydełka moje unieść mnie muszą. Siostrzyczko twojej za pozdrowienia dziękuję i nawzajem pozdrawiam ją serdecznie, liściku obiecanego oczekiwać będę.

A teraz muszę Was pożegnać na dwa miesiące, kochani czytelnicy; wyjeżdżam dość daleko i na listy Wasze, jak zwykle w mojej nieobecności odpisywać będzie Redakcyja. Za powrotem jednak polecam się Waszej pamięci i proszę o wiele, bardzo wiele listów, bo spragnioną będę wiadomości od Was — a powróciwszy z nowym zasobem sił do pracy, rada będę zastać pod ręką gotowy materiał. Przesyłając Wam raz jeszcze życzenia wesółych wakacji, załączam serdeczną prośbę: nie zapominajcie o życzliwej i przyjaźnej wam zawsze

Jaskółce.

Pani miecznikowa siedzi na ganku z robotą w ręku, przeznaczoną do kościoła; w kołysce obok niej śpi dziecina, dwuletni synek, obok, siedzi dziewczátko dziesięcioletnie zaledwie: dorodne, ładne, Agnieszka nazywane, w rodzinie Jagą, a w zdrobnieniu Jagienką. Najstarsza z sióstr, jest już pomocą matce. Zwija teraz motek nici na kłębek; zajęta robotą, bo motek w bieleniu splątany trochę, a matka poleciła jej, by nitek nie przerywała, więc je cierpliwie rozplątuje. Dwie młodsze dziewczynki, Zosia i Dorotka, bawią się z białym jak śnieg kotkiem, rzucając mu zwinięty w kulkę gałganek. Pani miecznikowa spogląda ze łąz w oku na tę ich wesołą zabawę. Natrętna myśl, pacierzem nawet odpędzana, powraca co chwila do skołatanego umysłu: Może biedne dzieci w tej dobie są już sierotami!... O Matko Boska Częstochowska! zmiłuj się nad nami. Nie dopuść, by bezczeszczono świątynię Twoję. Tą modlitwą pani miecznikowa kończyła teraz zawsze pacierze poranne i wieczorne, które na głos wraz z dziećmi i domownikami odmawiała.

Zadumę jej przerwało w tej chwili zbliżanie się pana Bartłomieja Krzyskiego, dalekiego krewnego jej męża. Wiek sędziwy nie pozwolił mu iść na wojnę. Pan miecznik uprosił go, by w czasie jego nieobecności, objął opiekę nad domem, gospodarstwem, żoną i dziećmi. Tytułowano go więc panem Wojskim, bo w owych czasach, każdy szlachcic mieć musiał jakiś tytuł, a obecnie stanowisko pana Bartłomieja, samo z siebie mu go nadawało.

Zbliżył się do ganku. Pani miecznikowa podniosła oczy na niego i serce w niej uderzyło trwogą. Wyraz zakłopotania, jakiejś niepewności, jakby lęku, był wypisany na sędziwej twarzy pana Wojskiego. Opuściła robotę na kolana.

— Mój mąż... reszta wyrazów uwięzła jej w gardle.

— Nie, pani miecznikowo dobrodziejko, ale...

— Syn mój!

— Nie, z obozu nie mamy żadnych wieści, z kraju coraz gorsze.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożyła Konwalijska.

Zastąpić kropki literami aby pierwszy rząd oraz pierwsze litery złożyły nazwisko króla polskiego z XIV w. 2) Część świata. 3) Miasto przy ujściu Wisły. 4) Imię żeńskie. 5) Wulkan w Europie. 6) Oznaki żalu. 7) Odwrotnie brzmienie litery. 8) Samogłoska.

S Z A R A D A.

Pierwsze z trzecim to imię, co mówiąc nawiasem.
Styka się swym początkiem z patryarchów czasem
Drugie jest wykrzyknikiem, rzecz to oczywista,
Wszystko puszcza bezbrzeżna, głucha i piaszczysta.